

KURPIE

OPOWIADANIE HISTORYCZNE



Napisał

A. ST.



WYDANIE

Miod, воск, skóry zgromadzali u siebie Puszczeni i sprzedawali na targach w Myszyńcu, Ostrołęce i innych miastach. W wodach, rzekach i jeziorach, których dużo było w Puszczy (największe jezioro Serafin), łowili ryby, a jeszcze gdzieś i bursztyn kopali. I po te wszystkie towary zjeżdżali się kupcy niemieccy z Prus i chętnie je nabywali.

Roli zaś uprawiali mało: parę zagonów koło chałupy, pod żyto, groch, kapustę na potrzeby domowe—oto i całe gospodarstwo Puszczeników.

I mądre urządzenia wyrobili sobie ci mieszkańcy puszczy czyli Kurpie,—bo tak ich nazwano od obuwia „plecionego z kory lipowej, jakie nosili.

Wszyscy bartnicy tworzyli razem jedno bractwo wielkie, jedno towarzystwo, które własnym rządziło się obyczajem i święcie strzegło swych praw starodawnych.

Nie było tu panów, ani poddanych, lecz wszyscy byli równi, tak jak chciał nasz dawny staropolski obyczaj ludowy. Rządziło wszystkim zebranie bartników, na które zwoływali ludzi przez obieszczenie znaku bartnego, t. j. tabliczki drewnianej opatrzonej znakiem, którą z kolei jeden do drugiego, sąsiad do sąsiada, odnosił. Zgromadzali się wszyscy dwa razy do roku, w dzień Św. Apostołów Szymona i Judy i w święto Stanisława, i na tych zgromadzeniach wybierali sobie urzędników. Najprzód starostę bartnego, później dwóch sędziów i podsędków, i pisarza bartnego.

Nikt się nie mógł wymawiać od urzędu, bo za to kara była.

Wybrani urzędnicy przysięgali całemu ludowi, że urzędy swoje uczciwie sprawować będą, „że sądzić będą, nie mając względu na ubogiego i na bogatego, na przyjaciela i nieprzyjaciela, ani dbając o łaskę, lub niełaskę czyją, ani na datek żaden“, tylko według prawa i sumienia, według przykazań Bożych i uchwał ludu puszczańskiego. Sądy swoje odbywali w Ciechanowie i Przasnyszu co tydzień. Prawo, którem się rządzili, spisaniem było po raz pierwszy przez Krzysztofa Niszczeykiego, starostę przasnyskiego, za króla Zygmunta, w roku 1559.

W prawie tem stały oznaczone kary na zło-czyńców. Najsurowiej karano złodziejów, bo odbiera-no im bór i wyganiano z puszczy, a to pod ka-rą śmierci, gdyby który ważył się powrócić. Za wydzieranie cudzych pszczół także wyganiano, za zrabanie drzewa w lesie, za obcięcie gałęzi różne stanowiono kary.

Trzymali się kurpie obyczaju: oko za oko, ząb za ząb. Jak kto co złego uczynił, musiał naj-przód złe naprawić. Bo gdyby tak od winy pie-niężną karą mógł się każdy wykupić, toby bogaty mógł wszystkich bezkarnie krzywdzić.

Gdy sprawa była taka, że mogła się skończyć wyrokiem śmierci—naprzykład o zabójstwo, to sąd przywoływał do rady jeszcze kilku bartników z lu-dzi starych i bogobojnych, a czasami nawet zapra-razali jeszcze sędziów z którego miasta, ponieważ—

jak pisze w prawie bartnem—„jest to rzecz wielka kwapić się na osądzenie człowieka na śmierć“.

Wtedy wszyscy bartnicy ujmowali ręką po-wróż, na którym miał być winny powieszony. Chcieli przez to pokazać, że wszyscy na wyrok się zgadzają, i wszyscy razem przed Bogiem i ludźmi odpowiedzialność na siebie biorą.

Prawo opisuje i jacy mają być świadkowie, że nie może świadczyć ten, co ojca, lub matkę bi-jał, bo taki nie godzien wiary. Ustanawia, jak do stołu niema nikt zasiadać, jeno ludzie uczciwi i sta-teczni; jakie kary na tych, co fałszywie zeznają; jak pisarzowi, coby fałszywie pisał, ręka powinna być odjęta, i t. d.

Kary pieniężne składali do skrzyni bartnej, co była niby kasą, do całego bractwa należącą. Wyroki wpisywali do księgi bartnej, która scho-waną była u starosty, a klucz od niej miał jeden wybrany z pośród bartników.

Od sądów zwykłych można było zanosić skar-gę na roki walne, które odbywały się w Przasny-szu na Ś-go Wojciecha, a gdyby kto i tu był nie-zadowolony, to mógł się skarżyć do samego już króla.

Wszyscy urzędnicy, starosta i sędziowie, gdy-by ich kto pozwał, tak samo musieli stawać przed sądem.

Towarzystwo opiekowało się sierotami, nazna-czało im opiekunów spośród bartników i doglą-dało, aby dobytek sierot nie ginał i bór ich nie

pustoszał. Opiekun musiał przynajmniej dziesięć ulów rocznie sierotom przymnożyć.

Towarzystwo Kurpiów przyjmowało do bractwa każdego przychodnia, byle tylko dał się poznać, jako człowiek uczciwy. Musiał on przysiąc, że „będzie czynił, co należy ku pożytkowi i rozumnieniu bartnemu, że nie będzie pomagał nikomu, ktoby się chciał przeciw pospółstwu naszemu, a jeśliby kto co niesprawiedliwego o bartnikach mówił, temu przeciw się będzie i swoich bronić.“ Gdy przysiągł, wydzielano mu w puszczy kawał lasu, czyli bór, w którym już mógł swobodnie swoje barcie stawiać.

Tak to zgodnie i pocziwie żyli bartnicy. Jeden stał za wszystkich, wszyscy za jednego. Trzymali się zawsze kupy i dlatego, choć nie jeden chciał im odjąć swobód i skrzywdzić, to oni zawsze potrafili się oprzeć i obronić.

Mieli oni płacić królowi podatek niewielki, po rączce miodu na dawną miarę od boru (6 garnicy.) Podatek ten odwozili staroście przasnyskiemu, na dzień Ś-go Michała. Raz gdy starosta chciał im podatek ten podwyższyć, poskarżyli się Kurpie królowi i sprawę wygrali. Było to za króla Zygmunta III, w roku 1630. Później znowu, gdy inni starostowie chcieli nakładać na nich różne robocizny, kazali sobie drzewo zwozić i domy budować, oparli się Kurpie i znowu się nie dali.

Król każdy, wstępując na tron, potwierdzał te prawa Kurpiów. Przysięgał, że wolno im w puszczy „drzewa dzięcić, sidła zastawiać, żołądz zbierać,

łyka drzeć i inne potrzeby swoje obmyślać bez wszelkich przeszkód z czyjejbądź strony”. Zaprzysiągł to Zygmunt III w roku 1630, król Władysław w roku 1637, Jan Kazimierz w roku 1660, król Michał w roku 1673 i inni.

Prawa te przechowywały się aż do 1801 roku. Byli więc Kurpie panami zupełnymi w puszczy i zachowali wolność i swobodę taką, jaką w innych okolicach Polski chłopci dawno już byli stracili.

III. Kurpiowska buda.

W takiej to puszczy, jak opisaliśmy wyżej, o milę od Myszyńca, stała samotna buda kurpiowska, do której tylko wąską ścieżyną dostać się można było. Wieczorem, jakoś w dzień niedzielny, siedziało w niej przy stole i gwarzyło kilka osób. Z serdeczności, z jaką się wzajem traktowali, znać było, że to wszystko dobrzy sąsiedzi, przyjaciele, którzy, jak to mówią, nie jedną już beczkę soli ze sobą zjedli.

Stary Matus Bartodziej, gospodarz chałupy, wysoki, barczysty Kurp', z włosem długim, siwizną już mocno przypruszonym, częstował swych gości miodem i piwem i zatrzymywał tych, którzy już z powrotem do domów się wybierali.

— Ot! niebezpieczylibyście się tak kumowie,— mówił Matus.—Tyko patrzeć, jak wróci z Myszyńca nasz Stach, com go posłał na jarmark z pudłakami miodu, które przez lato uzbieraliśmy.

Może nam jakie ciekawe wieści z tamtąd przywiezie.

— Młody, a mądry to chłopak z tego waszego Stacha,—odrzekł Wojciech Orzeł.—Pomoc z niego macie wielką; w każdej robocie jest się kim wyręczyć. Bo to, Matusie, nam teraz starym już ciężko robocie podolać. Zabrał wam Bóg wasze dziecko, ale i stratę wynagrodził.

— Oj! prawda to, prawda—rzekła na to stara Magda.—Dziękować Bogu i tyła! Kiedy to nasz Franek zerwał się z barci i spadł z wysokości, smutno i ciężko nam było we dwoje. Tak smutno, że już Matus chciał bór gromadzie oddać, podziękować ludziom, i pójść gdzie na posługę do kościoła, lub klasztoru jakiego. I zmiłował się Bóg nad nami...

Matus westchnął ciężko i głęboko na wspomnienie o synie jedynaku, który, ot już lat dziesięć temu tak strasznie z wypadku życie zakończył. Wstał stary z ławy, przeszedł się po izbie i dla ulżenia smutkowi tak jał opowiadać:

— Gdym od towarzystwa naszego bór, co tu widzicie, dostał, spodobał mi się ten kąt wielce. Zdawało mi się, że już całe życie krokiem się stąd nie ruszę. Ale tu już na piąte lato na rokach w Myszyncu wybrali mnie ludzie na ławnika do sądu. Prosiłem się, że domu opuszczać nie mogę, że nie mam komu gospodarstwa powierzyć, bo syn dopiero pełzać po ziemi się nauczył. Ale że u nas na Kurpiach od służby wymawiać się nikomu nie wolno, więc podziękowawszy ludziom, służbę swą

pełnić począłem. Pierwej gromadzkie dobro, a później swoje,—taki to już nasz stary obyczaj. I trafiło mi się wtedy napotkać w Myszyncu starego Konwę, kurpia z Nowogrodzkiej puszczy. Siedział on aż za Nowogrodem, a miał tam koło siebie wieś szlachecką. A że mu się sprzykrzyło ze szlachtą ciągle kłócić, więc rzucił swoje strony i chciał prosić gromadę, by mu u nas w Myszyńskiej puszczy bór wydzieliła. Pozналиśmy się i tak jakoś zaraz do serca sobie przypadli, żem go uprosił, by bór sąsiedni obok mojego objął i zarazem mojego gospodarstwa doglądał. Od tego też czasu sąsiadowaliśmy ze sobą. W rok potem umarła mu żona, zostawiając syna i dwie córki. A gdy w lat kilka i stary zakończył życie, wzięliśmy z Magdą sieroty do siebie. Dziewki, jak wiecie, łońskiego roku powydawaliśmy, a Stacha, to już za własne dziecko uważamy. Wszak prawda, Magdo?

Ohciała Magda wychwalać ulubionego swego chłopca, gdy wtem słyszeć się dały szybkie kroki wpobliżu i niebawem drzwi się roztworzyły. Wszedł do izby młody, tegi chłopak, ze strzelbą na ramieniu, w kapeluszu okrągłym, kurpiach na nogach, w spodniach opiętych, słowem tak, jak się Kurpie noszą.

Był to właśnie Stach Konwa, sierota.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł przybyły, kłaniając się starym do kolan.

— Na wieki! — odrzekli obecni, powstając z miejsc swoich.

Stara Magda skoczyła do pieca by wieczrę podać.

— Ej! nie czas teraz, matko, do wieczry siadać! — rzek Stach. — Dajcie tylko cosik przegryść, bo znów w drogę wyruszam.

— Cóż takiego? — pytali zdziwieni.

— A to, ojcowie, że Szwedy na puszcę naszą ciągną i zniszczą nas do szczeru, jeśli nie przygotujęm się, żeby ich przyjąć, jak należy.

Na te słowa powstałi wszyscy przerażeni. Pamiętali jeszcze ludzie, ile to złego wyrządzili Szwedzi kilkadziesiąt lat temu, za króla Jana Kazimierza. Jak zabijali ludzi, rabowali dobytek, nie uszanowali nawet kościołów i świątyń pańskich. Gdyby nie mężna obrona księdza Augustyna Kordeckiego, niewiadomo, co by się było stało z klasztorem na Jasnej Górze, w Częstochowie. Jeden tylko hetman Stefan Czarniecki uratował wtedy kraj od szwedzkiej niewoli.

Słyszeli ludzie, że nowy król August wojnę ze Szwedem rozpoczął, ale o co chodziło, nikt dobrze nie wiedział. I nikt nie spodziewał się, by wróg już tak prędko do kraju naszego wtargnął. Słowa Stacha przeraziły ich więc niezmiernie, a Magda już nawet jęła zawodzić. Stach dalej opowiadał:

— Jak się ludzie nasi dowiedzieli, że Szwedy ciągną, tak zaczęli radzić, co tu począć. A było ludu w Myszynie siła z różnych puszczy naszych. I postanowili, żeby wybrać kilku starszych bartników, co by do samego szwedzkiego króla poszli

i na przód prosili, aby na puszcę naszą nie nachodził. A gdyby Szwed na to się nie zgodził, to powiedzieć mu, że Kurpie siedzą swoich bronić będą, dopóki im choć jedna kula zostanie. A i was, ojcze, prosili, — rzekł Stach, zwracając się do Matusi, — żebyście szli w poselstwie. Trzeba więc nam zaraz iść do Myszynca, bo jutro ze świtem do Szwedów pójdziemy.

Niedługo namyślał się stary Matus. Był to człowiek, który rozumiał dobrze, że ludzie wtedy są silni, gdy się kupy trzymają, a więc że każdy powinien dobro gromadzkie mieć na sercu i zawsze czynić to, co gromada każe.

Nie zważał więc na płacz starej Magdy. Choć baba płakała na myśl, że jutro mąż jej i syn przybrany wśród Szwedów będą, że ich tam mogą uwięzić i zamordować, nie tracił stary czasu i zaczął wybierać się w drogę. Opasał się rzemieniem, zarzucił przez ramię torbę borsuczą, nałożył proch do rogu i kul do torby wsypał.

Stachowi oczy świeciły się z radości, że Matus tak zaraz się zebrał. Uśmiechało się młodemu, że za dni kilka, jeśli Szwedzi najdą, rozpocznie się polowanie, w którym będzie mógł pokazać odwagę swoją. Radował się, że Kurpie w obronie swej ziemi wszyscy jak jeden człowiek wstają, nie boją się tych Szwedów, którzy nam tyle złego narobili, że zemszczą się teraz za krzywdy ojców i pokażą przecie, jak to chłop polski bić si umie.

W izbie trwało milczenie, przerywane tylko

placzem Magdy. Gdy stary przysposobił się już do drogi, objął wpoł żonę i rzekł:

— No, moja Magdo, czy się jeszcze zobaczymy, to jednemu Bogu wiadomo; lecz jeśli w służbie gromadzkiej życie położę, ludzie cię nie opuszczą. Nie płacz, kobieto, i nie rozpaczaj. Niech się dzieje wola Boga!

Pocałował żonę, uściskał i prędkim krokiem do drzwi podążył. Stach cały czas stał z oczami wlepionymi w Matusa. Gdy już mieli ruszać, rzucił się i on do Magdy, objął ją i począł całować, to płacząc, to śmiejąc się radośnie.

Wyszli. Noc była ciemna. Szli obaj długo w milczeniu, bo Stach choćby rad gadał, lecz przez szacunek nie chciał staremu myśli przerywać. Od czasu do czasu tylko Matus o co pytał.

— Dużo tam ludzi było w Myszynie?

— Siła — odrzekł Stach. — Ze wszystkich stron, z całej puszczy. z każdego prawie boru przyszli. A gdy starosta, stanąwszy wśród zgromadzonych, zapytał: czy damy nasze bory na łup Szwedom, czy pozwolimy, aby wróg, jak przed laty, po całej Polsce plądrował? wtedy na rynku powstał huk i wrzask taki, że zdawało się, że niema takiej siły na świecie, którejby lud nasz się uląkł. „Nie ulękną się Kurpie czerwonych mundurów żołnierzy króla szwedzkiego“ krzyczeli jedni. „Pokażemy im, jak strzelać umiemy!“ — wołali inni. Zdawało się, że nam serca porosły, tak czuliśmy się wolni i silni swą gromadzką siłą. Gdzie okiem rzucić, wszędzie stali ludzie dzielni, każdy ze strzelbą.

każdy dobrze uzbrojony i gotów do ostatniej kropli krwi walczyć z wrogiem.

Uśmiechał się Matus, słuchając, z jakim zapalem młody opowiadał. Widząc, że Stach gadałby tak bez końca, przerwał mu znowu:

— Był kto ze szlachty na zgromadzeniu?

— Nie było nikogo, — odrzekł Stach. — Ludzie mówili, że jedni trzymają za królem Augustem, a drudzy przechodzą do Szwedów. Jedna tylko wojewodzina Działyńska przysłała dowiedzieć się, co Kurpie robią i przyrzekła pomoc, gdyby ze Szwedem bić się zaczęli. Sama nie przyjechała, bo swoich ludzi przygotowuje.

— A no! — rzekł Matus. — Ciężka to będzie przeprawa, bo słyhać, że ten Karol szwedzki to wojownik wielki.

— A czy to Kurpie strzelać nie umieją? Czy nie mamy lasów, w których zasieki porobić możemy? Czy nie potrafimy wyprzeć wroga?

Tak szli godzin kilka do Myszyńca. W mieście na rynku już dużo ludzi zastali. Jedni spali przy ogniach, drudzy gwarzyli wesoło o wojnie ze Szwedami. Stach prawdę mówił: wszystkich taki zapal ogarniał, jak gdyby wybierali się nie na wojnę, lecz na wesele.

Poznali ludzie zaraz Matusa. Ten i ów podchodził, witał starego. A jeden, zdjawszy czapkę, pokłonił się i wyrzekł:

— Cześć wam, ojcze Matusie, zeście pierwszy na rozkaz gromady stanęli. Was koniecznie do Szwedów posłać chcieliśmy, bo nikt inny tak do-

brze im nie powie, co my tu wszyscy czujemy. A teraz odpocznijcie, bo daleka droga was czeka jutro,—i wskazał staremu posłanie, na którym przy ogniu sam spoczywał.

Matus uściśkał Kurpia, usiadł na posłaniu, jeszcze trochę pogwarzył i powoli ze zmęczenia zadrzemał.

IV. W obozie szwedzkim.

Mówiliśmy już, jakto Karol król szwedzki, rozbijwszy pod Narwią wysłane przeciw sobie wojska, wkroczył do Polski, nim się August mógł opamiętać.

Wszedł tedy na czele siedmiu tysięcy wojska w lasy mazowieckie drogą od Torunia i tu nieopodal od puszczy kurpiowskiej rozłożył się obozem.

Na drugi dzień rano dano znać królowi, że przyszedli jacyś chłopci z lasów, którzy z nim samym chcą mówić.

Gdy Karol wyszedł z namiotu, ujrzał przed sobą Kurpiów, a między nimi najstarszym był Matus Bartodziej.

Skłonili się chłopci królowi i Matus tak doń przemówił:

— „Przyszliśmy tu od swoich, od całego ludu puszczy naszej wybrani, by ciebie, królu, prosić, żebyś żołnierzom swoim zakazał czynić gwałtów i rozbojów na ludziach i dobytku naszym, i dał krzywdzić niewinnych ludzi, którzy ani to ani twoim nic złego nie zrobili.“

Przetłumaczono królowi, co to miało znaczyć. Gdy zrozumiał, roześmiał się na całe gardło i odrzekł:

— „Precz! podłe chłopcy bez butów! Pójdę tam, gdzie zechcę, a was, gdy mi się sprzeciwiącie będziecie, każe wszystkich powiesić!“

Cierpliwie wysłuchali Kurpie tej odpowiedzi, choć niejednemu na taką obrazę krew w żyłach zawrzała. Matus rzekł jeszcze do tłumacza:

— „Powiedzcie waszemu królowi, że choć my prosimy chłopci bez butów, lecz ziemi swej nie dajemy pierwszemu lepsшему zbójowi, który po nią przyjdzie. A jeśli chcą Szwedzi dowiedzieć się, jakto my strzelamy, to prosimy do siebie, do puszczy.“

Nie było co robić w obozie. Wrócili posłowie do puszczy i wytłumaczyli zgromadzonemu w Myszynie ludowi odpowiedź króla. Wnet po całym kraju w dzwony uderzyć kazano. Gdy posłowie byli w obozie, ludzie pokopali już rowy, porobili zasieki, narabiali drzewa, pozakładali wszystkie drogi i ścieżki, jakie prowadziły do puszczy. Koło każdej zasieki stanęli uzbrojeni Kurpie, czekając, aż im posłowie odpowiedź króla szwedzkiego przyniosą.

V. Bitwa pod Kopańskim mostem.

Szwedzi podstąpili do puszczy w miejscu zwanem Kopańskim mostem. Jak tylko podeszli na odległość strzału, Kurpie ogniem rżęsiwym ich przyjeśli.

Karol z początku lekceważył sobie chłopów. Posyłał małe tylko oddziały. Lecz ani jeden z nich wejść do puszczy nie mógł i wracał w rozsypce do obozu, zostawiając dużo zabitych i rannych na polu.

Wtedy ruszył sam król z główną siłą wojska swojego.

Poczuli Kurpie, że nadeszła chwila stanowcza.

— „Masz ty nas wywieszać—mówili—to my wolimy wystrzelać ci twoje wojsko.“

I zaczęła się bójka. Kurpie strzelali dobrze; co który strzelił, to z pewnością jednego Szweda z nóg zwalił. Lecz „siła złego na jednego.“ Już wszystkie naboje wystrzelali, a fuzyje to się tak rozpałyły, że aż w rękach utrzymać było trudno, a Szwedzi wciąż ciągnęli, a ciągnęli. Z trupów powstały kupy wysokie, niby wał przed zasieką kurpiowską. Lecz nowi żołnierze po ciałach poległych towarzyszy przechodzili.

Cofnęli się Kurpie poza pierwsze zaskieki i stanęli przy drugich, żeby wytchnąć nieco.

Nie wytrzymał Stach Konwa w swojej zaskiece. Gdy mu już kul w torbie zabrakło, krzyknął do swoich:

— Dość tego, ludzie! Pokażmy tym czerwonym mundurom, że nie boimy się ich i na czystym polu. Za mną bracia, do roboty!

I wyskoczył z zaskieki, rzucił się na stojący oddział Szwedów z siekierą, którą miał w ręku, i jął wywijać na wsze strony. Żaden szwed nie

śmiało do niego przystąpić—taki był straszny, jak lew zawzięty w boju.

Za przykładem Stacha i inni towarzysze jego rzucili się jeden z siekierą, drugi z nożem, trzeci z kosą, na wrogów.

Aż tu nadciągnęła z pomocą wojewodzina Działyńska, świeżych ludzi i nowe zapasy z sobą przywiodła.

Znowu z zaskiek kurpiowskich taki ogień, taki grad kul na Szwedów się sypnął, że nie wytrzymali i uciekać poczęli.

Wtedy już wszyscy Kurpie wyszli ze swych zaskieków i za uciekającymi gonili. Wielu jeszcze wystrzelali, by im raz na zawsze odebrać ochotę do napadania na puszcę.

Wojsko szwedzkie rozbite zostało do szczętu. Z osiem tysięcy ich zginęło w walce. Sam Karol ledwie cały wyszedł i sam jeden konno z pułkownikiem Hornem uciekł w stronę Przasnysza, gdzie znalazł przytułek u pana Szczuki, swojego stronika.

* * *

Gwarno i wesoło było dnia tego w Myszynie. Po wszystkich gospodach siedzieli Kurpie i rozpowiadali sobie o wypadkach walki. A choć pomęczeni byli i zmordowani, lecz nie chcieli się rozchodzić do domów, bo w takiej chwili wszyscy razem być woleli.

Radowali się niemało, że pokonali tak straszne-

go wroga. Wyśmiewali się ze Szwedów, śpiewając piosenkę:

Na Kopańskim moście
Stali dziwni goście,
I fuzyje mieli.
O tem nie wiedzieli,
Że Kurpie też mają
I tego strzelają.
Choć Myszyniec płonie
Od rzuconej drzazgi,
My na swym zagonie
Zbijem was na miazgi.

A gdy nadeszła wieść, że i w Ostrołęce ludzie porządnie Szwedów skropili, radość nie miała granic.

Właśnie do gospody, w której siedzieli Matus, Stach, Wojciech i inni Kurpie, wszedł Tomasz Kruk, Kurp' z puszczy Ostrołęckiej. Pozdrowiwszy obcych, winał im zwycięstwa

— Tęgoście się spisali, ojcowie. Ale i nasi Ostrołęccy nie zawstydzili dziś sławy kurpiowskiej.

— Cóż takiego? Cóż było? — pytali zewsząd.

— A no, gdy wczoraj wieczorem dano znać po wsiach, że Szwedzi weszli do Ostrołęki, zaczęli ludzie zbierać się i radzić, jakby ich ztamtąd wykurzyć. Zbroiliśmy się przez całą noc i jak tylko świtać poczęło, napadliśmy na miasto. A Szwedzi zamknęli się na cmentarzu, co to u nas, jak wiecie, wysokim murem jest otoczony.

Nuż więc ztamtąd do nas strzelać. Ale my

i na to znaleźliśmy sposób. Skoczyli chłopcy po snopy do stodół, a gdy się nazbierało tego dużo, poszliśmy pod ściany i po snopach na mur wdarliśmy się. Zginęło i naszych niemało, ale szwed ani jeden ztamtąd cały nie wyszedł!

Dopiero zaczęli wypytywać, jak i co było, tak że Tomasz ledwie nastarczyć mógł odpowiedzi. I siedzieli tak do późnej nocy.

Nie wiedzieli, że to jeszcze nie na tem koniec.

Karol, uciekwszy do Szczuczyna, postanowił zemścić się srodze na tych chłopach, co mu taką naukę dali. Zgromadziwszy więc nowe wojska, znowu uderzył na Myszyniec.

Żołnierze szwedzcy palili wsie i miasta i budy kurpiowskie i mścili się srodze na ludziach. Kurpie bronili się ciągle mężnie i walka trwała, aż dopóki Karol nie pociągnął w inne strony polskie.

Tu pod Kliszowem król szwedzki znowu zwyciężył Augusta i wtedy już zajął kraj cały i samą Warszawę. Na króla polskiego powołał on Stanisława Leszczyńskiego, którego część szlachty chciała mieć na tronie. Sam zaś Karol wtargnął do Rosyi.

VI. Śmierć bohaterska Konwy.

Po odejściu Karola szwedzkiego zapanaował pokój na Kurpiach. Ucichły strzały, ludzie powracali do domów. Dawnym zwyczajem swoim barcie

dziali, miód i wosk zbierali, Niemcom do Prus sprzedawali.

W kilka lat umarł i stary Matus, żałowany od wszystkich, nietylko od krewnych, lecz od całego ludu puszczańskiego, któremu całe życie wierne służył.

Bór po nim objął Stach Konwa. Zagospodarował się, ożenił, spokojnie na ojcowiznie osiadł, ciężko pracował i Pana Boga chwalił.

I zdawało się, że nietylko gospodarstwo po starym Matusie odziedziczył. Mir i poważanie, jakie miał stary u ludzi teraz, zdawało się, niby spuścizna na Stacha przeszły. Był on przez trzy lata ławnikiem w sądzie Myszynieckim, a później wciąż go do rady w ważnych sprawach wzywano. Ludzie wierzyli w jego rozum i wiedzieli, że on nigdy nie takiego nie poradzi, coby gromadzie na szkodę wyjść mogło. A gdy raz w Nowogrodzie mieli ludzie złoczyńcę jednego wieszać, to aż ztamtąd przysłali po Stacha, by radą swoją w tak ważnej sprawie sądowi dopomógł.

Tymczasem w kraju znowu zerwała się burza.

Rządy króla Augusta drugiego nie spodobały się wielu. Król ten otaczał się swoimi Niemcami, trzymał po kraju swoje wojska saskie, które ludzi i ziemię niszczyły. A Polskę to uważał za pastwę jaką, z której tylko jak najwięcej korzyści chciał dla siebie wyciągnąć. Chciał nawet ustąpić część kraju królowi pruskiemu, żeby tylko synowi swojemu tron po sobie zapewnić.

A sam, co miał o potrzebach kraju myśleć, to hulał, pił, jadł i rozpustne życie pędził.

Zgorszenie było stąd wielkie. A że, jak mówi przysłowie: „jaki pan, taki kram,” więc za przykładem króla i wielcy panowie, zamiast o kraju radzić, próżniacze życie pędzili. Aż urosło stąd przysłowie:

„Za króla Sasa

Człowiek jadł, pił i popuszczał pasa“

Niejednemu więc sprzykrzyła się ta gospodarka niemiecka, i przemysłiwali nad tem, by na tronie kto inny zasiadł.

Gdy więc król August drugi w roku 1733 umarł, wezwali Stanisława Leszczyńskiego, który od lat kilkunastu we Francyi mieszkał. A że córkę wydał za króla francuskiego, więc spodziewali się, że Francycja sprawę Stanisława będzie popierać.

Lecz i syn Augusta, któremu na imię było także August, nie myślał ustępować. Zbierał ludzi, gromadził wojska, starał się o pomoc i w kraju i u sąsiadów.

Zanosilo się więc znowu na wojnę domową. Różni ludzie jeździli, znajomości robili, stronników sobie szukali.

I o Kurpiach przy tem zapomnieć nie mogli, pamiętali dobrze, że to lud dzielny i odważny, którego pomoc w wojnie może być bardzo przydatną.

Razu pewnego Stach zwyczajem swoim miał wyjść do boru. Chciał on barcie opatrzyć, bo mu jedną jeszcze zeszłego tygodnia burza zepsuła.

Zebral się więc raniutko i miał już wychodzić, gdy wtem jakiś chłopak mały, zadyszany i zmęczony biegiem, wpadł od strony Myszynca, krzyząc z całej siły:

— Gospodarzu! Gospodarzu! — idźcie-no do Myszynca. Ludzie po was przysłali. Idź, powiedzieli, poproś Stacha Konwę, żeby tu do nas na radę przyszli. Powiedz, że pan jakiś zdaleka przyjechał i Kurpiów do siebie sprasza i o czemś ważnem ma do gadania.

Stachowi wydało się z początku, że chłopak sam nie wie, co plecie, z przestachu może, albo głupoty. Bo jaki to pan mógł mieć do niego, biednego Kurpia, interes.

— Jaki pan? Co za pan?—zapytał.

— Nie wiem,—odrzekł chłopak.—Idź, powiedzieli, proś Stacha Konwę, żeby tu do nas na radę przyszli, bo jakiś pan przyjechał i Kurpiów do siebie sprasza...

Zobaczył Stach, że z malcem się nie dogada.

— Biegaj, — odrzekł, — powiedz ludziom, że przyjdę.

Gdy Stach wszedł do gospody w Myszyncu, w której na niego czekano, siedziało tam kilkunastu starszych i poważnych Kurpiów, a otaczał ich tłum ciekawych, którzy pytali, coby to wszystko miało znaczyć.

Ale nikt jeszcze dobrze nie wiedział, o co chodzi. Widziano tylko, jak wieczorem dnia poprzedniego przyjechał do Myszynca, jakiś pan bogaty,

który miał ze sobą kilkudziesięciu szlachty, a i oficerowie jacyś szwedzcy z nim byli.

Niektórzy poznawali nawet generała szwedzkiego, Steinflichta, co go już raz Kurpie porządnie byli stłukli pod Kopańskim mostem.

Pan zatrzymał się u żyda w zajeździe, kazał jadło i napoje znosić, i Kurpiów, którzy starsi i poważniejsi, do siebie na jakąś naradę spraszał.

Domysły więc chodziły różne. Jeden to, drugi o coś gadał, a ci, co w próżne gadania bawić się nie lubią, siedzieli i milcząc czekali, aż po nich przyszlą. Mówili o nowej wojnie, o nowych wrogach. Ale dobrze nikt nie wiedział, kiedy i o co.

— Juźci,—rzekł Stach,—że Kurpie bez przyczyny karków swoich nadstawiać nie będą. Ale jeśli to dla dobra kraju będzie potrzebne, to nie pożałujemy ani trudów, ani krwi własnej. Przypomnimy sobie dawne czasy, i Kopański most, i Ostrołękę, i Myszyniec.

Dopiero koło południa, kiedy poschodziła się starszyzna kurpiowska, przybiegł pacholek do gospody, gdzie siedzieli Kurpie, i wyrzekł:

— Imć Pan Adam Tarło, starosta jasielski, który tu w poselstwie od Stanisława Leszczyńskiego przybywa, prosi panów starszyznę do siebie na naradę!

Powstali Kurpie i powoli wychodzić zaczęli. Gdy podchodzili do zajazdu żydowskiego, w którym nieznajomy pan zamieszkał, wyszedł na ich spotkanie jakiś dworzanin, szlachcic w kontuszu

i z szablą u boku. Wprowadził on chłopów do komnaty i na ławach usadził.

A w komnacie wszystko było przystrojone niby od święta. Na stołach stały jadła rozmaite, i kufle z piwem, i flaszki z miodem starym. Ławy pozaścielane były bogatemi dywanami i siedzieli na nich panowie szlachta i Szwedzi w czerwonych mundurach.

Wszystko to nie spodobało się Kurpiom.

— Cóż to, — miarkowali — czy nie myśli on nas na jakąś złą sprawę przekupić, że tak jadłem i napojem chce do siebie zniewolić.

Weszli więc, pokłonili się i na ławach sobie wskazanych usiedli.

Wtedy pan Tarło podszedł do Kurpiów i witał się z nimi. Skinął na dworzanina, a ten zaczął ich sadzać, piwem i miodem częstować.

Pan Tarło zaś coś Stachowi do ucha szepnął i do sąsiedniego pokoju go wyprowadził, drzwi za sobą zamknął i w te słowa przemówił:

— Wiem ja o was, Konwo, od pani wojewodziny Działyńskiej, z którą razem przed kilkunastu laty wojowaliście Szwedów. Wiem o tem, jak biliście się wtedy dzielnie i odważnie; wiem jeszcze od ludzi, jakie wy tu, w tej puszczy, poważanie macie między swoimi, że każdego waszego słowa ludzie słuchają więcej, niż nawet rozkazu królewskiego. Przybyłem ja teraz w ważnej sprawie i dlatego wprzód z wami na osobności pomówić tu chciałem.

— Nie moja to zasługa, — odrzekł Stach, — że

mnie ludzie nasi poważają. Od obowiązków gromadzkich nigdy się nie usuwałem i, gdy było potrzeba, wiernie gromadzie służyłem, bo taki jest nasz obyczaj kurpiowski i tak mnie uczył mój ojciec i dobroczyńca Matus Bartodziej, świeć Panie nad jego duszą! A to, co chcecie mi powiedzieć, wysłucham chętnie. Ale dlaczego ukrywać się przed innymi? Ja się od gromady oddzielać nie chcę, — dodał głosem stanowczym.

— Pan Tarło sięgnął po coś do kieszeni. Stach zdziwionym okiem na niego spojrzał, a gdy posłyszał brzęk złota, podskoczył, jak oparzony.

— Niedobrze wam o mnie pani Działyńska mówiła, — krzyknął, — że mnie tak krzywdzić chcecie!

I podnosząc głos, zawołał:

— Cóż to myślicie, panie, że Kurpie swą wiarą targują! Że my za złoto bić się będziemy! Nie, panie, u nas przekupstwem, ani częstunkiem nie nie zrobicie: jeśli sprawa wasza jest czysta, to i my po waszej stronie będziemy, a jeśli nie, to... — i nie mógł dokończyć, taka go złość wzięła. Porwał się ku drzwiom i chciał do swoich powrócić i wszystko im opowiedzieć.

Ujął go pan Tarło za rękę, wpół go objął i przytrzymał.

— Czekaście, Konwo, czekaście! Nie róbcie mi wstydu przed ludźmi. Bóg widzi, że was krzywdzić ani obrazić nie chciałem.

Dopiero jął Stachowi tłumaczyć, że to dziś we zwyczaju, że do największego pana z pieniędzmi trzeba przychodzić, że zepsucie wśród ludzi jest

wielkie, że więc i on mógł się omylić, i niechcąc taką krzywdę człowiekowi uczciwemu wyrządził. Jął przeproszać i tłumaczyć, a wszystko z serca snąc mu płynęło, bo Stach spokojnie do końca wszystkiego wysłuchał, uspokoił się i w końcu odrzekł:

— Niech to zostanie między nami. A teraz chodźcie i rzecz całą przed ludźmi wyłóżcie. Co macie nam powiedzieć, to ja z innymi wysłucham i jak mi sumienie i rozum nakaże, tak odpowiem.

Wyszli razem i Konwa znów usiadł między swoimi. Widzieli Kurpie, że Stach jakiś zły i niby nieswój, ale nie chcieli go o nic pytać.

Wtedy pan Tarło tak do nich przemówił: — Panowie starszyzna ludu puszczańskiego! Przybywam ja tu do was w imieniu króla naszego Stanisława Leszczyńskiego, który prosi cały lud kurpiowski o pomoc w wojnie z Sasami. Za wiele już krzywd i ucisku od nich doznaliśmy! Nie może nikt z nas sprawiedliwości doznać, nie może nikt o krzywdę się upomnieć! August drugi wciągnął nas do wojny ze Szwedami, on wprowadził do Polski swoje wojska saskie, które ziemię naszą niszczą, ludziom dobytek zabierają. Król Stanisław więc do was, do ludu całego się odzywa i o pomoc prosi. Wzamian zaś przyrzeka i przysięga, że zachowa wszystkie starodawne prawa wasze bartnicze, jakie były i są od wieków, w tych puszczech waszych mazowieckich!

Słuchali Kurpie z uwagą i rozważali każde słowo, które słyszeli. To jedno im się nie podo-

bało, że tu przy stole oficerowie szwedzcy zasiadają, że mają przed oczyma te szwedzkie czerwone mundury, z którymi niedawno tak zacięty bój toczyli.

Zapytał więc jeden: — Teraz powiadacie panie, że niemcy u nas górą. Ale cóż to król wasz ze Szwedami trzyma! Dlaczegoż to, o tu teraz oficerów szwedzkich przy was widzimy?

— Szwedzi już nam nie straszeni, — odpowiedział Tarło. I jął dowodzić, że Karol już nie żyje, że ci Szwedzi, których tu Kurpie widzą, to są już na służbie króla polskiego, że od nich nie nam złego nie będzie, a tylko pomoc w wojnie. I długo jeszcze tak mówił pan Tarło.

Nie wiedzieli Kurpie, co na to wszystko odrzec. Chciało im się podtrzymać nowego króla Leszczyńskiego, lecz ze Szwedami nie miło im się było bratać. Słyszeli o królu Stanisławie, że był człowiek dobry i bogobojny, że lud prosty miłował i nikogo krzywdzić nie dawał. Miarkowali więc wszystko i w końcu Stach, wstawszy z miejsca, tak panu Tarle odpowiedział:

— Kurpie słowo swoje cenią, a więc i na wiatr go nie dają. Musim się wprzód wywiedzieć o wszystkim, poradzić z innymi, wszystko dobrze zmiarkować. Staniem my po stronie tego, po czyjej jest prawda!

I stanęło na tem, że za tydzień miał starosta jasielski przysłać kogo do Kurpiów po odpowiedź. I nie wiadomo na czem by się było skończyło, gdyby Kurpiów nie zaczepiono.

Lecz w tym samym czasie wojska saskie, wysłane przeciw Leszczyńskiemu, przechodząc koło puszczy, zaczęły lud grabić, dziewczęta uprowadzać, dobytek i bory niszczyć. Nie wytrzymali Kurpie i wzięli się do broni.

Uderzono we wszystkie dzwony po puszczy, zbrojono się, a na wodza znowu nie kogo innego tylko Stacha Konwę wybrano.

Ten jeździł teraz konno po wszystkich borach. To tu,—to tam zasięki urządzał, robotami kierował, ludzi zbroił i do walki namawiał. Często, wymknąwszy się z garstką swoich zuchów, małe oddziały saskie tępił, aż wkońcu doszło do wielkiej bitwy.

Jenerał Steinflicht i pułkownik Rebinder, jak pan Tarło obiecywał, przyszedli Kurpiom na pomoc. Jeździł więc do nich Konwa, naradzał się i porządek bitwy razem układali.

Saski jenerał Biron postanowił całą siłą na Kurpiów uderzyć i od jednego zamachu ich zgniebić. Ale i nasi mężnie przygotowali się do tej bitwy, która miała już być ostatnią. Zbroili się przez noc całą, przygotowywali ładunki, opatrywali broń, wkońcu krzepili się sami i wesoło zabawiali.

Konwa chodził pomiędzy ludźmi i dodawał odwagi: „Jeszcze jedna bitwa,—mówił i już spokój na wieki będziemy mieli. Już nikt nie będzie śmiał nas krzywdzić i znieważać, nikt na nasze puszcze nie odważy się najeżdżać!”

I ludzie się radowali, ściskali, pewni zwycięs-

twu. Wieczorem dnia tego znowu Konwa długo naradzał się ze Steinflichtem. Ułożyli oni, że Kurpie wystąpią naprzód, napadną na pierwsze oddziały saskie i, cofając się ciągle, wciągną za sobą wojsko do puszczy, a wtedy Rebinder ze Szwedami z boków uderzy i tak w trzy ognie wezmą wrogów.

Na drugi dzień ze świtem wyszli Kurpie mężnie na obóz saski. Wróg nie spodziewał się tak śmiałego i nagłego napadu, i nim się do boju uszykował, już mu dużo ludzi pod kurpiowskimi kulami zginęło.

Gdy główna siła saska ruszyła, Kurpie zaczęli cofać się ku puszczy, jak było umówione z Rebinderem.

Lecz raptem strach i przerażenie ich zdjęło, bo poczuli ogień za sobą. Domyslił się Konwa zdrady Szwedów. Przeczuli, że im tu już wszystkim koniec będzie. Nie było co myśleć o ratunku, chyba broń złożyć i zdać się na łaskę Sasów.

— Zginęliśmy! — krzyknął do swoich. — We dwa ognie nas biorą! Szwedy lotry zdradzili! Czy chcecie ludzie bronić się do ostatka? — zapytał.

— Bronić się! Bronić! — krzyczeli zewsząd.

Wtedy Konwa podzielił oddział na dwie części, jedną odwrócił twarzą do miejsca, skąd byli wyszli i tak już, stojąc na miejscu, odstrzeliliwali się w jedną i drugą stronę. Otoczeni ze wszystkich stron przez gęste szeregi wrogów, trzymali się Kurpie długo jeszcze. Gdy już zablisko było do strzałów, rzucili się na bój ręczny. Najgorzej do-

stało się Szwedom, bo zaciekłość Kurpiów za zdradę dodała im męstwa i odwagi. Sam Rebinder ciężko ranny wyniesiony został przez swoich z pola bitwy.

Z Kurpiów zaledwo kilku wzięto do niewoli. Reszta wyginęła na miejscu.

Generał Biron rozkazał żołnierzom, by Konwy nie zabijano, lecz by go żywcem ujęto. Rzucili się więc w kilkunastu na niego, powalili na ziemię, ręce i nogi związali powrozem i do saskiego obozu przynieśli.

Gdy bójka ucichła, rozwiązano Konwie nogi i generał kazał go do siebie zawołać.

— No, chłopie, — krzyknął — daruję ci życie, jeśli przyrzekniesz, że odtąd wiernym królowi saskiemu będziesz i swoich do uległości i poddaństwa nakłonisz!

— Kurpie raz danego słowa nie cofają! — odrzekł Konwa, spokojnie i dumnie spozierając generałowi w oczy. — Gotów jestem umrzeć, — bo za dobrą sprawę umieram!

— Gotów jesteś — więc dobrze, — rzekł rozwścieczony generał. I zwracając się do żołnierzy, powiedział:

— Postawić zaraz szubienicę na samym placu bitwy, żeby tamci, co w lasach jeszcze zostali, widzieli, jak ginie ich herszt ulubiony!

— Hersztem nie jestem, — krzyknął Konwa, — a Kurpie nie zbóje! Zdradą nas wzięliście, niechże za to przekleństwo ciąży nad wami!

Śmiało i odważnie szedł Konwa na śmierć!